

Karmię się obrazami

Wenecja, którą znam, to letni skwar, gwar rozmów, tłum, kolorowe maski, mieniące się w słońcu witryny sklepów, krzyczący gondolierzy i błękitne niebo. Wenecja, którą pokazuje nam dr Dominika Rafalska, to artystyczny spokój, otulająca kadr mgła wtapiająca się w białe niebo, otaczająca z troską weneckie kamienice, jej mieszkańców, pojedynczych turystów i opuszczone gondole, rozpraszająca światło zabytkowych ulicznych lamp o świcie. Tak, że ma się wrażenie, iż patrzymy na obraz – nie na zdjęcie. O takich właśnie zdjęciach-obrazach z ich autorką, dr Dominiką Rafalską, z okazji wernisażu jej wystawy „Wenecja – znikające miasto” rozmawiała Sylwia Dudkowska-Kafar



Doktor Dominika Rafalska na wernisażu jej wystawy „Wenecja – znikające miasto” (fot. Anna Wojciechowska).



Obok jedno ze zdjęć prezentowanych na wystawie

► **Jak to się stało, że dziennikarka prasowa, adlunkt w Instytucie Mediów, Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UG, zaczęła wyrażać siebie także obrazem? Skąd pani zamiłowanie do fotografii?**

Fotografuję od niedawna, zaledwie od dwóch lat próbuję swoich sił w fotografii. Ale to „ziarenko” zostało zasiane znacznie wcześniej. To kwestia mojej wrażliwości artystycznej, a tę ukształtował mój dom rodzinny. Moja mama

była absolwentką Wydziału Rzeźby warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Całe życie pracowała w domu kultury, gdzie prowadziła zajęcia z malarstwa i rysunku. Tata był urbanistą, zakochanym w naszym mieście – Warszawie.

Dorastałam w domu pełnym książek o sztuce i architekturze. Kultura wysoka była stałym elementem naszych rozmów, wypełniała czas. Jestem pewna, że to wtedy, w dzieciństwie, zaczęła się kształtować moja wrażliwość. Fotografia to nauka patrzenia, tworzenia kadrów, operowania światłem, kompozycji... Sporo tu analogii choćby do malarstwa.

► **Kiedy była pani w Wenecji po raz pierwszy? I jakie ma pani wspomnienia z tego okresu?**

Nie pamiętam dokładnie dat wszystkich wyjazdów, ale byłam tam co najmniej kilka razy i wszystkie te pobyty wspominam bardzo źle. Niestety w przeszłości podróżowałam tam latem, w trakcie piekielnych upałów i szczytu sezonu turystycznego. To miasto nie tylko mnie wtedy nie natchnęło czy nie zainspirowało, ale wręcz zniechęciło. Niby piękne i oryginalne, a jednak, przez ten upał i tłum, wręcz odpychające... Mimo to po kilku latach był jakiś kolejny raz i niestety podobnie – szybko, na jeden dzień, tak jakoś przy okazji i... znowu latem. Nigdy więcej tak nie pojedę. Dopiero dziś widzę, jak bardzo ta brutalna, masowa turystyka eksploatuje to miasto, niszczy je. Przykładem są zdjęcia, które ukazały się w mediach podczas tegorocznego karnawału w Wenecji. Na ulicach, przeznaczonych przecież tylko do ruchu pieszego, tworzyły się korki, zatory. Ściśnięci jak sardynki w puszcze ludzie czekali na możliwość przejścia na sąsiednią ulicę. Gdy to zobaczyłam na zdjęciach we włoskiej prasie, aż mnie coś zabolowało w środku.

► **Skąd pomysł, aby utrwalić Wenecję zimą?**

Pojechałam tam z miłości i tęsknoty za pewnym obrazem. Obra-

zem, którego nie widziałam, ale o którym przeczytałam na kartach książek Josifa Brodskiego. Mam tu w szczególności na myśli jego esej *Znak wodny*, w którym opiewa pustą, surową, zamgloną, szarą, zimową Wenecję. Przez wiele lat nosiłam ten obraz gdzieś na dnie serca, wracałam do niego i znów zapominałam o nim... Zastanawiałam się też, zwłaszcza widząc tłumną Wenecję w letnich miesiącach czy w czasie karnawału, czy Brodski nie uraczył nas jednak jakąś fikcją literacką albo czy to miasto nie przeszło jakichś wielkich zmian od „jego czasów”...

Aż pewnego dnia, we wrześniu 2023 roku, podczas festiwalu fotografii ŚwiatłoSiła w Gdańsku trafiłam na wykład poświęcony fotografii ulicznej. Prowadzący pokazywał nam zdjęcia z różnych miejsc na świecie, okraszając swoją opowieść odwołaniami do literatury: reportażu, eseju czy nawet poezji... W pewnym momencie pokazał zdjęcie szarego weneckiego nabrzeża: zimą, we mgle. On także powołał się na *Znak wodny* i twórczość Brodskiego. Wtedy zrozumiałam, że ten obraz, który noszę w sobie i za którym tęsknię, naprawdę istnieje i że muszę go zobaczyć... To było jak impuls, imperatyw...

Zrozumiałam, że ta majestatyczna, mglista rzeczywistość bardzo głęboko mnie porusza, że taka właśnie Wenecja czeka, abym ją odkryła.

Poczekalam kilka miesięcy – aż skończy się jesień (skądinąd moja ukochana pora roku) i zaczęła zima. Sprawdziłam, kiedy w Wenecji kończy się karnawał, ponieważ nie chciałam tam jechać w trakcie jego trwania. Kilka dni po jego zakończeniu – w połowie lutego – pojechałam.

► **I jaki obraz tego miasta pani zastała w tym czasie?**

Taki jak u Brodskiego: pusty, cichy, surowy i zamglony... Zależało mi na tej mgle. Miałam szczęście, ponieważ ona nie występuje tam przez cały czas. Tymczasem podczas czterech dni mojego pobytu wciskała mi się w kadr niemal codziennie. Wznosiła się i opadała niczym kurtyna w teatrze. Wędrowała ze mną uliczkami i odsłaniała miejsca, które dopiero w tym okresie można zobaczyć w pełnej krasie.

To dzięki niej zimowa Wenecja jest tak zmienna i chimeryczna. Proszę sobie wyobrazić, że wchodzi pani na jeden z weneckich placów, gdzie była pani kilka godzin wcześniej, i nie rozpoznaje tego miejsca. Za każdym razem może ono wyglądać nieco albo zupełnie inaczej. Inna atmosfera, aura, światło... I właśnie mgła. To magia tego miasta. Wędrując po takiej Wenecji, zastanawiałam się często, czy jestem w „zwykłym mieście”, czy może na scenie w teatrze i czego to miasto ode mnie „oczekuje”. To niesamowite uczucie.

► **Czy zimowa Wenecja jest bardziej chimeryczna niż na przykład zimowy Kraków o świcie?**

To porównanie jest mi akurat bardzo bliskie. Uwielbiam jesienno i zimowy Kraków, zwłaszcza o świcie, ze spowijającą go wtedy bardzo często mgłą. Przywołuje mi on na myśl obrazy Stanisława Wyspiańskiego, który portretował Planty o świcie z charakterystycznymi kasztanowcami o niemal secesyjnych kształtach.

Będąc w Krakowie i wędrując Plantami, nie raz próbowałam znaleźć podobne do Wyspiańskiego kadry. Myślę, że w tym sensie Wenecję i Kraków można w pewien sposób ze sobą porównać. Te miasta są „malarzkie”... Niestety, w miesiącach letnich – podobnie zamęcone...

► **Wróćmy jednak do Wenecji – czy w czasie pleneru miała pani wcześniej ustalony plan pracy?**

Przede wszystkim zawsze podróżuję sama. Nie mogę się rozprasać, chcę skupić się na fotografii, mojej wizji, detalach, poszukiwaniu kadrów i światła. Chłonę otoczenie.

Po wylądowaniu w Wenecji, wsiadłam na statek, którym popłynęłam do mojego hotelu w centrum miasta. Za oknem obserwowałam ciemną taflę wody, otulone mgłą i sepią kamienice, białe niebo, pojedyncze gondole i przechodniów. Oczarowały mnie cisza i spokój. Mijałam też portowe, industrialne okolice, które przywodziły czasem na myśl gdańską stocznice, którą bardzo lubię. Niemal od razu zaczęłam robić zdjęcia.

Dla fotografa bardzo ważne jest światło, a ono jest najpiękniejsze rano przy wschodzie i wieczorem przy zachodzie słońca. Złote i niebieskie godziny to wyjątkowe momenty, na które „polujemy”. Podczas takiego pleneru przeważnie wstaję więc o świcie. Mam jakiś ogólny pomysł, wiem, jakie dzielnice i miejsca chcę odwiedzić. Realizuję ten plan, ale nie trzymam się go sztywno. Przez cały dzień włóczę się, podpatruję ludzi, szukam ciekawych miejsc, w których mogłabym uchwycić chwilę, którą chcę zachować. Czasem robię sobie przerwy po to, aby chwilę odpocząć, poczytać czy coś zjeść, ale zdarza się i tak, że o tym zwyczajnie zapominam. Karmię się obrazami.

► **Ma pani jakieś wspomnienia z konkretnymi zdjęciami, o których warto opowiedzieć?**

W każdym zdjęciu zamknięte jest jakieś wspomnienie i niemal każde opowiada jakąś historię. Pamiętam, jak podczas tamtej zimowej wyprawy popłynęłam

na wyspę Laguny Weneckiej San Giorgio Maggiore. To niewielka wyspa naprzeciwko placu św. Marka. Ciekawostką jest to, że zobaczyłam ją z przeciwnego brzegu dopiero ostatniego dnia, gdy mgła trochę opadła... To piękna wyspa, niezwykle nastrojowa, cicha. Długo stałam na placu przed tamtejszą bazyliką w oczekiwaniu na choćby jednego przechodnia, który dopełni mój kadr.

Innym razem pojechałam do dzielnicy Cannaregio, która jest pewną alternatywą dla zatłoczonego, turystycznego centrum... Ta dzielnica przypominała mi atmosferę krakowski Kazimierz. Pełno w niej vintage shopów, antykwariatów, księgarni i winiarni. Spacerując nabrzeżem, natknęłam się tam na imprezę na świeżym powietrzu. Młodych ludzi, którzy pili jarzące się we mgle pomarańczowe aperole, otaczała aura dobrej zabawy. Nagle w kadr, niczym zjawą, „na scenę” weszła dziewczyna w pomarańczowym futrze. Na tym zdjęciu przyciąga całą uwagę, akcentuje równie pomarańczową zawartość kieliszków, ale też piękno kanału, ciemnej wody, białego nieba, niemych kamienic i delikatnej mgły... tworzy scenerię, bez której te akcenty nie miałyby znaczenia. To są chwile, w których fotograf myśli: „Rany, jakie ja mam szczęście!”

► **Ile zdjęć powstało podczas tych czterech dni? Przypuszczam, że na wystawie znajduje się ledwie fragment całej kolekcji?**

Ponad osiemset. Połowę później usunęłam, ale nadal mam ich około czterystu. Na wystawę wybrałam zaledwie dwadzieścia sześć fotografii.

► **Czy wśród nich jest jedno ulubione zdjęcie?**

Z wszystkimi jestem mocno związana, ale jedno przynosi mi szczęście. Przedstawia fragment nabrzeża z roślinnością, samotnym drzewem i romantycznymi ruinami. Może dawnym pałacem? Szczerze mówiąc..., nie wiem, ponieważ ten kadr przemknął mi przed oczami, gdy płynęłam statkiem. Na szczęście zdążyłam go uchwycić.

To niepozorne zdjęcie podoba się wielu fotografom, artystom, malarzom... Wszyscy wskazywali, że jest ono „malarskie” i choć nie przedstawia jakiegoś ikonicznego widoku, ma w sobie coś wyjątkowego.

Jedna z moich koleżanek-fotografek wybrała je spośród kilkuset. Podkreślała, że przywodzi ono na myśl wedutę z XIX wieku. To od niej po raz pierwszy usłyszałam, że właśnie to zdjęcie „przyniesie mi szczęście”. Idąc za tym głosem, wysłałam je na próbę do „Vogue Italia”, pisma, w którym buduję swoje artystyczne portfolio. Zostało od razu zaakceptowane. To było pierwsze zdjęcie, które tam wysłałam – od niego zaczęła się moja przygoda z tym tytułem.

A zatem, może rzeczywiście jest to mój szczęśliwy kadr? Podkreślałam jednak, że każde z tych zdjęć jest mi bliskie, bo każde wniosło w moje życie piękno i przybliżyło mnie do decyzji, aby upomnieć się o moje marzenia choćby poprzez decyzję o tym, aby odważnie wysłać moje zdjęcia na konkursy czy przygotować wystawy.

Pierwsza z nich odbyła się w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w październiku 2024 roku. Druga – w Krakowie, w zupełnie innej scenerii, niewielkiej winiarni na Rynku Podgórskim. Gdańska wystawa w Bibliotece UG jest moją trzecią ekspozycją.

► **Co było największym wyzwaniem podczas weneckiego pleneru zimą?**



Szczęśliwy kadr dr Dominiki Rafalskiej



Plakat promujący wystawę „Wenecja – znikające miasto”

Paradoksalnie chyba właśnie to, co było jego największym atutem – mgła, a właściwie jej nieprzewidywalność. Trzeciego dnia bardzo długo czekałam na *vaporetto*, tramwaj wodny i podstawowy środek transportu w Wenecji, którym miałam wrócić do hotelu. Długo nie przypląwał i w końcu okazało się, że z powodu zbyt gęstej mgły już nie przyplynie. Zaczęło się ściemniać. Wróciłam na piechotę – na szczęście okazało się, że jest blisko, ale przestraszyłam się wtedy, że następnego dnia nie dostanę się na lotnisko...

► **Z jaką informacją wyjdzie z wystawy pani prac odwiedzająca ją osoba?**

W tych zdjęciach widać bardzo dużo moich emocji i wrażliwości... Wenecja dała mi dużo więcej, niż oczekiwałam. Odbiór zdjęć, które tam zrobiłam, to indywidualna sprawa każdego. Może zainspirują one kogoś do rezygnacji z masowej turystyki i do udania się do tego miasta zimą?

► **Pani zdjęcia to mglista, zimowa Wenecja „poza szlakiem”, po której spaceruje się z przyjemnością powolności. Jeśli pani**

zdjęcia zainspirują kogoś do zimowej wyprawy do Włoch, jakie lektury i obrazy poleciliby pani takiej osobie?

Myślę, że nie o konkretne lektury tu chodzi, a o wrażliwość i intuicję. Ja pokochałam obraz zimowej Wenecji na długo przed tym, jak go zobaczyłam. Najpierw była książka Brodskiego, ale także wiele innych lektur: reportaży, wierszy, prozy bardzo różnych autorów: i Kundery, i Baczyńskiego, i Wyspiańskiego, i Kapuścińskiego... Co mają ze sobą wspólnego tak różni autorzy? To, że każdy z nich (i wielu, wielu innych) ukształtował moją wrażliwość. Każdy na swój sposób...

► **Jakie są pani najbliższe plany artystyczno-fotograficzne?**

Wenecja była moim pierwszym plenerem, ale oczywiście nie ostatnim. Byłam już na dwóch kolejnych: pod koniec września odwiedziłam włoską Apulię i Basilicatę, a w niej piękne skalne miasto – Materę. Robiłam zdjęcia kapliczkom, figurom w kościołach, pięknej architekturze...

W lutym bieżącego roku byłam w Rzymie, gdzie fotografowałam

anioty, nabrzeże Tybru i włączyłam się po mieście.

Ale jeżdżę też po Polsce. W czasie Barbórki zrobiłam materiał na Śląsku, chodziłam po zabytkowym osiedlu górniczym – Niki-szowcu, fotografowałam orkiestrę górniczą w galowych strojach, rozmawiałam z mieszkańcami na ulicach, przed kościołem, w miejscowych knajpach... Zależało mi na tym, aby nie tylko zrobić zdjęcia, ale też poznać ludzi, posłuchać o ich problemach...

Mam w planach wyjazdu na kolejne warsztaty fotograficzne, udział w festiwalach fotografii w Polsce i za granicą, i oczywiście konkursy, w których coraz odważniej biorę udział.

Już teraz mogę zaprosić na kolejną wystawę, której wernisaż odbędzie się 9 maja w Krakowie, na Uniwersytecie Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Wpisuje się ona w obchody dwudziestopięcioletnia tej uczelni, która podobnie jak Uniwersytet Gdański ma w tym roku swój jubileusz.

Wystawę „Wenecja – znikające miasto” można obejrzeć **do 17 kwietnia** w Bibliotece Głównej UG.